



Michał Paweł Markowski

 <https://orcid.org/0000-0002-5500-0812>

Uniwersytet Jagielloński

Kraków, Polska

University of Illinois Chicago

Chicago, USA

Czym była, czym jest i czym powinna być filologia?*

What Was, What Is and What Should Philology Be?

Abstract: Defining academic disciplines as “existential-institutional practices with a high rate of persuasion and an equally high rate of accidentality”, the author reflects on the universality of the claims of literary disciplines and concludes that they can only acquire legitimization in the modern world through their development of two basic, albeit undervalued, skills: argumentation and persuasion. Thus, he puts forward the thesis that the turn from logic to rhetoric, especially from dialectic to elocution, or from expertise in thinking (about the world) to expertise in the study of language (text), has had a disastrous impact on the study of texts. At the same time, he reserves philology for fields that have already been developed, primarily textology, while allocating hermeneutics (interpretation) and poetics (analysis) to literary studies, in accordance with the modern division invented by German philologists in the early 19th century.

Keywords: philology, hermeneutics, literary studies, criticism

Abstrakt: Definiując dyscypliny akademickie jako „egzystencjalno-instytucjonalne praktyki o dużym współczynniku perswazyjności i równie dużym współczynniku przypadkowości”, autor zastanawia się nad uniwersalnością roszczeń dyscyplin literaturoznawczych i dochodzi do wniosku, że jedyną płaszczyzną ich legitymizacji w świecie współczesnym jest wypracowywanie przez nie dwóch podstawowych, choć niedowartościowanych umiejętności: argumentacji i perswazji. Tym samym stawia tezę, że katastrofalne skutki przyniosło badaniom nad tekstami zwrot od logiki do retoryki, szczególnie od dialektyki do elokucji, czyli od wprawy w myślenie (o świecie) do wprawy w badanie języka (tekstu). Jednocześnie rezerwuje dla filologii pola już zagospodarowane – głównie tekstologię – literaturoznawstwu zaś oddając hermeneutykę (interpretację) i poetykę (analizę), zgodnie z nowoczesnym podziałem wynalezionym przez niemieckich filologów na początku XIX wieku.

Słowa kluczowe: filologia, hermeneutyka, literaturoznawstwo, krytyka

* Artykuł ukaże się równolegle w tomie *Filologia – od/nowa. Język, literatura, kultura w epoce cyfrowej*, red. T. Bilczewski, K. Górniak-Prasnał, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2025 [w druku].

Zacznę od pytania ostatniego, bo najłatwiej na nie odpowiedzieć. Otóż nie wiem, czym powinna być filologia. Daleki jestem od posługiwania się kategorią powinności, zwłaszcza w badaniach literackich. Każdy robi to, co mu najbardziej odpowiada, czyli co ma dla niej/niego sens. Oczywiście zdarza się, że badacze literatury uznają, że ich praca żadnego sensu nie ma, ale tym przypadkiem nie będę się tutaj zajmował. Jeśli ktoś znajduje sens w porównawczych badaniach nad biernikiem, to zakładam, że ma to dla tej osoby sens, choć nie ma sensu dla mnie, bo nie chciałbym swojego życia poświęcić biernikowi. Ale z tego, że dla mnie takie badania nie mają sensu, niewiele wynika dla kogoś, kto się nimi z pasją zajmuje.

Przyda się tu parę uwag na temat sensu. Kiedy mówię, że coś nie ma dla mnie sensu, to mówię jedynie to, że ja sam nie chcę się tym czymś zajmować, ale nie mówię, że kto inny powinien te zajęcia porzucić. Sens jest kategorią wartościującą, ale wartościującą selektywnie i lokalnie. To, co dla mnie ma wartość, a przez to sens, nie musi mieć wartości dla kogoś innego, i odwrotnie. Sens nie jest jednak kategorią ściśle zindywidualizowaną (i prowadzącą do jakiegokolwiek relatywizmu), lecz zbiorową (Markowski, 2019). Jeśli ktoś mówi, że badanie językowego obrazu świata ma sens, znaczy to, że inni ów sens uznają, że takie badanie wykracza poza jednostkowy imperatyw i że ma szansę na – nazwijmy to tak – społeczne uznanie. Może nie powszechne uznanie, ale z pewnością lokalne, częściowe uznanie ze strony tych, którzy także się badaniem językowego obrazu świata zajmują, i tych, którzy zakładają, że skoro jest tych badaczy wcale pokaźna grupa, to musi mieć to dla nich jak iś sens. Oni sami, którzy badaniem językowego obrazu świata się nie parają, ale na przykład dają takim badaczom pieniądze, albo nagrody, przyjmują, iż coś, co dla nich nie ma sensu, ma sens dla innych. Takie przyjęcie czyjegoś, nie własnego, sensu jest fundamentem demokratycznych społeczeństw, a także nowoczesnego uniwersytetu, który tych społeczeństw jest zarówno tworem, jak i metaforą.

Nie mówię jednak, że uznając prawo do zajmowania się tym, co dla każdego ma sens, zgadzam się co do społecznej ważności tego, czym się ktoś zajmuje. Wynika stąd, że coś może mieć ogromny sens, ale ni-

kłą społeczną ważność, co dzieje się zwykle wtedy, gdy nadawanie sensu dokonuje się w niewielkich grupach o nikłym oddziaływaniu. Czym bowiem jest społeczna ważność? Możliwością transferu sensu poza granice akademii. Jeśli niezawisłość akademii wobec opinii ludzi spoza uniwersytetu jest jednym z najważniejszych przywilejów nowoczesnego uniwersytetu i warunków jego profesjonalności, to jest ona jednocześnie powodem jej malejącej społecznej wagi (Menand, 2010). Nie ma na ten paradoks żadnej rady: to, co ufundowało nowoczesny uniwersytet badawczy, jest jednocześnie tym, co go z przestrzeni społecznej eliminuje. Widać to na przykładzie opozycji między naukami przyrodniczymi i humanistycznymi. Gdyby nie to, że przyrodnicy odpowiadają swoimi badaniami na zapotrzebowanie z zewnątrz, czyli kierują się społeczną interpelacją i łaskawie godzą się na finansowanie naszych mało istotnych przyczynków, już by nas – zapóźnionych miłośników humanistyki – dawno nie było. Jeśli jesteśmy, to nie dlatego, że nasza robota ma jakąś szczególnie istotną rolę do odegrania w świecie (uważam, że nie ma), lecz dlatego, że tak się jakoś na naszą korzyść wszystko składa.

Z własnego podwórka, czyli publicznej uczelni wyższej w Chicago, wiem, jak to działa. Gdy w zeszłym roku wybierano nowego dziekana naszego College of Liberal Arts and Sciences, wszyscy humaniści drżeli, by nie został nim biolog czy chemik. Dlaczego? Bo przyjmując kryteria stosowane w biologii czy chemii, musiałby pozamykać wiele programów, zwłaszcza tych przekonanych o wielkiej misji społecznej polegającej na wydawaniu dyplomu trojgu studentom. Humanistyka to kosztowne hobby i jest to fakt nadzwyczajny, jeśli takiego hobbystę ktoś decyduje się finansować. Fakt, podkreślam, nadzwyczajny, a nie oczywisty, co powinniśmy codziennie sobie powtarzać, kiedy siadamy do pisania artykułu o XVI-wiecznej ortografii. Jesteśmy wielkimi szczęściarzami i powinniśmy raz na zawsze zrezygnować z dyskursu ofiary, który zamiast dodawać animuszu, bardzo nam szkodzi. Prawdziwymi ofiarami są ludzie bez pracy i bez domu. My natomiast wpadamy w gniew, gdy ktoś nie da dodatkowych pieniędzy na pięcioletnie badania nad składową inwersją albo poezją postsekularną. Z tego powodu – wracam na własne podwórko – ucieszyliśmy się wszyscy w naszym college'u, że

nowa pani dziekan jest anglistką, ale jednocześnie zrozumieliśmy, dlaczego dziekanem od finansów musiał zostać specjalista od *experimental high-energy nuclear physics*. Nie dlatego, że tylko fizycy umieją liczyć pieniądze, ale dlatego, że finansowanie deficytowej humanistyki możliwe jest jedynie tam, gdzie między STEM i resztą świata panuje względna równowaga. Kto pracuje na uniwersytecie, gdzie taka równowaga ma miejsce, ten ma dużo szczęścia i musi wiedzieć, że jego intelektualne dylematy są opłacane wyłącznie dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności, a nie z powodu wysokiej klasy jego artykułów. Ten szczególny zbieg okoliczności ma swoją nazwę: jest nim nie potęga, lecz słabość kapitalizmu.

Narzekania na kapitalizm wypowiedane przez akademików, zwłaszcza humanistów, mają dla nich sens, ale nie mają żadnych realnych podstaw, co potwierdza tezę, że sens z rzeczywistością społeczną czy polityczną nie musi się zbiegać. To, że humanistyka jeszcze istnieje, jest dowodem na to, że kapitalizmowi daleko do doskonałości. Gdyby taką doskonałość osiągnął, humanistyki na uniwersytecie dawno by już nie było. Nie byłoby też bardzo wielu innych rzeczy, takich jak darmowa opieka medyczna, bezpłatne studia czy dwa miesiące fundowanych wakacji, które humanistom dają nadzwyczajne możliwości wykorzystywania wolnego czasu na wizytę w Toskanii albo oglądanie zaległych sezonów *Sukcesji*.

Uporawszy się z zagadnieniem nikłej ważności społecznej tego, czym się zajmujemy, możemy teraz wrócić do pytania postawionego w tytule niniejszego artykułu. Pytanie, czym była, jest i powinna być filologia, jest w pierwszym rzędzie pytaniem o warunki istnienia dyscyplin akademickich.

Wychodzę od dość oczywistych przesłanek, a mianowicie, że dyscypliny akademickie ani nie są bytami obiektywnie istniejącymi, ani też nie mają wiecznego istnienia (Markowski, 2014). Są jedynie pragmatycznie, a więc historycznie skonstruowanymi regułami uznania sensu. Pragmatycznie – bo służą jakiemuś pożytkowi, głównie tych, którzy się zdecydowali na jednoznaczną definicję ich roboty. Historycznie – bo odpowiadają potrzebom czasu, zwłaszcza wtedy, gdy czasy są niepewne.

Skonstruowanymi – bo nie spadły z nieba, lecz wynikają ze społecznej praktyki. Regułami – bo opierają się na mniej lub bardziej elastycznych protokołach postępowania. Uznania – bo wystarczy, że ktoś na jakimś zebraniu uzna, że jakaś dyscyplina powinna istnieć, i ktoś inny na tym samym zebraniu przyjmie, że ten drugi ma rację, by jakaś dyscyplina została powołana do istnienia. I odwrotnie. Gdy ktoś uzna na jakimś zebraniu, że istnienie jakiejś dyscypliny jest problematyczne, a drugi mu przytaknie, a na dodatek okaże się, że obaj mają zdolność podejmowania wiążących decyzji, to dyscypliny po prostu nie będzie. I w końcu: sensu – bo trudno sobie wyobrazić, by ktoś, kto pracuje w ramach jakiejś dyscypliny, chciał, by jego profesjonalne życie było bezsensowne.

Dyscypliny akademickie są to egzystencjalno-instytucjonalne praktyki o dużym współczynniku perswazyjności i równie dużym współczynniku przypadkowości. Mają sens dla ludzi przekonanych, a dla ludzi nieprzekonanych sensu nie mają. Gdy zbierze się odpowiednia liczba takich przekonanych i zacznie skutecznie przekonywać innych, że to, co oni robią, ma sens, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że na badania w takiej dyscyplinie znajdą się pieniądze. I odwrotnie: gdy nikt nie może nikogo przekonać o sensowności jakiejś roboty, a nie wnikam w to, co o takim nieprzekonaniu decyduje (czy jest to ideologia, polityka, zwykła ignorancja, czy brak studentów – lista jest długa), to wówczas dyscyplina może stracić fundusze, a przez to istnienie. Prawda jest dość ponura, ale, by tak rzec, najprawdziwsza: istnienie każdej dyscypliny akademickiej zależy od tego, czy ktoś bez pieniędzy potrafi zyskać uznanie kogoś z pieniędzmi. A że pieniądze to władza, istnienie każdej dyscypliny w ostatecznym rozrachunku jest na postronku tej lub innej władzy, i dobrze byśmy zrozumieli, że władza to nie tylko minister edukacji i nauki.

Co więcej, powoływanie nowych, nieistniejących wcześniej dyscyplin, podobnie jak eliminowanie dyscyplin od dawna istniejących, jest całkowicie uzależnione od władzy, i nie wydaje mi się, że jest w tym jakaś dziejowa czy społeczna niesprawiedliwość. Chodzi tylko o to, że na władzę narzekają ci, którym się powiada, że ich robota nie ma sensu, a więc nikt nie będzie ich finansował, chwałą zaś ci, którym się mówi,

że ich robota ma ogromny sens, więc trzeba im dać odpowiednio dużo pieniędzy. Nie widzę w tym nic gorszącego: kto prosi o pieniądze, bo ich nie ma, jest w znacznie gorszej sytuacji od tego, kto pieniądze wydaje, bo je ma. Jeśli ten, kto ma pieniądze, uzna, że jakaś dyscyplina nie ma sensu, bo chce raczej finansować dyscyplinę, która wedle niego sens ma, to temu, kto nie ma pieniędzy i reprezentuje dyscyplinę będącą, jak to się mówi, *on the chopping block*, pozostaje albo moralizujące narzekanie, które władza ma w pogardzie (albowiem władza jest „poza dobrem i złem” i szuka jedynie swojego interesu, czasem zgodnego z interesem ludzi władzy podległych, czasem nie), albo zmiana własnego portfolio, czyli redefinicja sensu. To pierwsze jest oczywiście łatwe, ale nieskuteczne, to drugie skuteczne, ale niełatwe.

Jeśli, powiedzmy, wybitny celtolog jest wybitny tylko dlatego, że posiadał wszystkie tajemnice celtologii i przeczytał wszystkie książki dotyczące Celtów, to jego wybitność oczywiście nie na wiele się zda, gdy okaże się, że obsługuje ona głównie jego samego, albowiem poza nim nikt się Celtami nie interesuje. Zda się natomiast na wiele, gdy jego wybitne umiejętności, nabyte w trakcie badań nad Celtami, znajdą zastosowanie w innej dyscyplinie, do której ów celtolog zostanie przypisany, gdy okaże się, że na utrzymywanie celtologii nie ma pieniędzy. Taki niechciany celtolog mógłby z równym pożytkiem wykonywać swoją robotę, gdyby, dajmy na to, uczył na wydziale historii tego, jak interpretować źródła historyczne, albo – na wydziale badań kulturowych – jak działa współczesna mitologia. Moim zdaniem jest to dość prosty sprawdzian na profesjonalną wybitność: czy specjalista w jednej dyscyplinie umie się odnaleźć w innej, czy raczej się przed takim przeniesieniem ze wstrętem broni. Nie mówię oczywiście o transferze hungarystów do astrofizyki, czy ginekologów do muzykologii, i nie mówię także o transferze ginekologów do astrofizyki. Chodzi mi wyłącznie o humanistykę, w której dyscypliny nie definiuje jej przedmiot, ale zbiór wykorzystywanych w niej umiejętności. Ktoś jest humanistą nie dlatego, że wierzy w Święty Kościół Katolicki i Zesłanie Ducha Świętego, nie dlatego, że czyta książki, których nikt inny nie czyta, i nie dlatego, że nie zna rachunku różniczkowego. Jest się humanistą, gdy posiada się pewne umiejętności, które

można łatwo rozpoznać, sprawdzić i zastosować w innych dziedzinach życia niż życie akademickie. Jakie to umiejętności?

Zwykle się mówi, że chodzi o umiejętność czytania czy interpretowania, ale nie w tym kierunku zmierzam. Moim zdaniem są dwie takie fundamentalne sprawności, dzięki którym my, literaturoznawcy, moglibyśmy łatwo dokonywać transferów interdyscyplinarnych i dzięki temu obronić się przed zarzutem niepotrzebności. Przede wszystkim jest to biegłość argumentowania i przekonywania. Jest to biegłość, której niesłusznie przypisuje się znikomą wartość w literaturoznawstwie i to z dwóch powodów. Po pierwsze, błędnie uznano, że argumentami zajmuje się wyłącznie logika, dziedzina podporządkowana dyscyplinie pod nazwą filozofia. Po drugie zaś w literaturoznawstwie mało się dziś argumentuje, mało się czegoś dowodzi, mało się swoich racji broni i mało się czyjeś racje podważa. Jest tak chyba dlatego, że nasza dyscyplina stawia na oczywistości, co do których nie trzeba nikogo przekonywać. Jeżeli – dajmy na to – ktoś bada motywy akwaticzne lub lunarne w twórczości jakiegoś pisarza albo nawet całej epoki, to uznaje – po pierwsze – że badanie motywów akwaticznych lub lunarnych jest zrozumiałe samo przez się, jako jeden z uświęconych tradycją wymogów dyscypliny, i zakłada także – po drugie – że badanie jakichkolwiek motywów jest równie oczywiste jako strategia badawcza, nie wspominając – to po trzecie – że w ogóle zajmowanie się tym właśnie pisarzem albo tą właśnie epoką nie podlega żadnej argumentacji. W rezultacie jest się z góry zwolnionym z obowiązku argumentowania, które miałyby na celu przekonanie kogoś postronnego, że badanie motywów akwaticznych lub lunarnych jest niesłychanie ważne, a szczególnie ważne dla adresatów tych badań. Nie dowodzimy niczego, nie przekonujemy nikogo, bo zaczynamy swoją robotę na poziomie oczywistości i na nim ją kończymy, wymawiając się „opisem” albo „analizą”, lub nawet „interpretacją”, które to strategie uznajemy za „obiektywne”, a więc niedyskutowalne.

Kto temu wszystkiemu winien? Otóż nie kto inny, jak Petrus Ramus, czyli Pierre de la Ramée, XVI-wieczny uczony francuski, który odłączył *ars bene disserendi* od *ars bene loquendi*, czyli dialektykę od retoryki (Ong, 1958). Według Ramusa retoryka powinna zajmować się stylem,

dialektyka argumentowaniem – i tak już zostało. Literaturoznawstwo zaczęło badać metafory, filozofia sylogizmy i w konsekwencji nasze dyskusje przekształciły się w personalne polemiki, bo zapomnieliśmy już, jak wynajdywać argumenty i jak ich używać. Odłączenie inwencji od elokucji dało nam łatwy chleb, ale pozbawiło – *nomen omen* – inwencji. Zainteresowanie stylem pozbawiło nas dialektycznej finezji, co szło w parze z wymogami nowoczesnego literaturoznawstwa jako nauki o wysłowieniu, a nie nauki o myśleniu. To pierwsza uwaga rewindykacyjna: powrót do dialektyki, do argumentu, co oznacza także odwrót od impresji, od łatwego eseizowania, które jak ognia boi się argumentu. Z tego powodu powinniśmy pytać naszych studentów, doktorantów i kolegów, których książki recenzujemy: „jaki jest twój argument?”, „z kim się spierasz?”, „kogo chcesz przekonać?”, a nie poprawiać im literówki i nękać za braki w bibliografii. Literówki i luki w bibliografii ważne, ale spieranie się ważniejsze.

Upadek dzisiejszej kultury politycznej i kultury publicznej w ogóle jest prostą konsekwencją złączenia dialektyki z logiką i odłączenia jej – jako dyscypliny hermetycznej i silnie skonwencjonalizowanej – od publicznego dyskursu. To, że dyskusje publiczne w Polsce i gdzie indziej są na tak żenującym poziomie, wynika właśnie stąd, że polityka nie jest już sferą argumentu, lecz czystych enuncjacji i brudnych inwektyw. To, że nas, literaturoznawców, nikt – wbrew marzeniom Ryszarda Koziołka – nie chce słuchać, jest efektem wielowiekowej degradacji dialektyki, czyli po prostu myślenia. W kręgu motywów akwatyicznych nie ma miejsca na argumenty. Albo rusałki są w wierszu, albo ich tam brak. *Who cares?*

Skoro jesteśmy przy inwencji, głównej części retoryki, musimy – po uznaniu znaczenia argumentacji – zatrzymać się na chwilę przy innej *pars artis*, czyli narracji (Marquard, 1994). Narracja jest lustrzanym odbiciem argumentacji: obie są sztukami umiejętnego przedstawiania sprawy. Umiejętnego, czyli przekonującego. Kiedy jest się przekonującym? Nie wtedy, gdy się rozwlekle i zawile czegoś dowodzi, lecz wtedy, gdy robi się to zwięźle i jasno. Co jest wrogiem narracji? Tradycja odpowiada – także zwięźle i jasno – że jest nią

taedium, znużenie. *Taedium* u publiczności, rzecz Lausberg, „rodzi się z błęgho charakteru przedmiotu mowy” (Lausberg, 2002: 161). Co zrobić, by znużenie czytelnika osłabić, *levare taedium*, i przemienić w zainteresowanie? To właśnie nasz największy problem: znużenie czytaniem nudnych rozpraw na błahe tematy, kiedy *taedium lectionis* płynnie staje się *taedium vitae*. Skoro my sami się nudzimy, czytając naszych towarzyszy niedoli, to co mówić o ludziach postronnych? Znany podręcznik antycznej retoryki sugeruje, że aby wzbudzić zainteresowanie słuchaczy, należy, poza zrozumiałą swadą wysłowienia, mówić o rzeczach *quae ad rem publicam pertineant*, czyli takich, które dotyczą lub odnoszą się do – mówiąc najogólniej – spraw publicznych. To z tego powodu jesteśmy nudni. Nie dlatego, że mówimy pseudonaukowym slangiem, ale dlatego, że nie dość odnosimy się do *rerum publicarum*. Literatura to przecież sprawa publiczna pierwszej wagi, tymczasem wciąż jeszcze wśród literaturoznawców panuje przekonanie, że można ignorować polityczny wymiar własnego dyskursu i zajmować się wyłącznie wewnętrznym systemem literatury umieszczonym z dala od targowego zgiełku. W kręgu motywów akwaticznych nie ma miejsca na społeczną doniosłość, albowiem społeczna doniosłość istnienia rusałek wydaje się dość mizerna.

Zarówno argumentacja, jak i narracja należą do inwencji, która w XVI wieku odłączyła się od elokucji w systemie retorycznym. W efekcie tego podziału retoryka oddaliła się od filozofii, a w konsekwencji utraciła związek ze światem i dała początek rozumieniu literatury wyłącznie jako sztuki pięknego mówienia, a nie jako społecznie ważnego myślenia. Literaturoznawstwo, które odziedziczyło ten rozdział w spadku po retoryce (Fish, 2008), musiało tak właśnie swój przedmiot uformować, żeby koniecznie mieć coś swojego – i tak w XX wieku powstała nauka o literaturze, która zajęła się wszystkimi sferami mowy, z wyjątkiem tych, które *ad rem publicam pertineant*. Kto uważa więc, że dyscypliny dzielą się wedle odmiennych dziedzin przedmiotowych, ten zakłada, że literaturoznawstwo nie ma żadnej społecznej funkcji do spełnienia, literatura to zaś przede wszystkim „projekcja zasady ekwiwalencji z osi wyboru na oś kombinacji” (Jakobson, 1960: 441), czyli, mówiąc mniej zagadkowym językiem, zmyślne igraszki wewnątrz wtórnego systemu językowego.

Pora na odrobinę wywrotowości. Sądzę, że powstanie nauki o literaturze – od Romana Jakobsona do Paula de Mana – jako nauki o osobliwościach mowy, było krokiem tyleż koniecznym, co katastrofalnym. Koniecznym, bo powołało do życia dyscyplinę, której nie było, a wiadomo, że w społeczeństwie nowoczesnym nie istnieje życie niezdiscyplinowane. Katastrofalnym, bo odłączyło nas od myślenia o świecie i – by tak powiedzieć – skazało na skaz. Trzeba było wybierać: albo autonomia dyscypliny, albo społeczna relewancja. Poszliśmy za autonomią, i tak, z własnej winy, znaleźliśmy się na marginesie, albo raczej na aucie.

Może więc, zapytałby ktoś podstępnie, trzeba szukać jakiegoś wyjścia z tego impasu i może nawet dałoby się takie wyjście znaleźć z pomocą filologii?

Dopiero teraz dochodzę do filologii jako takiej, ale nie czynię tego bez powodu. Najpierw musiałem bowiem wskazać na dwie fundamentalne przyczyny naszego społecznego wyautowania. Jeśli ratunkiem dla literaturoznawstwa miałyby być dowartościowanie argumentacji i narracji jako dwóch fundamentalnych a nie dość wartościowanych technik dyskursywnych; technik, które odchodzą od założenia, że naszym przedmiotem jest system języka, a nie system przekonań o świecie; jeśli więc argumentacja i narracja dałyby nam okazję do odrodzenia inwencyjności literaturoznawstwa, kosztem porzucenia poetyki (wiem, dotykam tu bardzo drażliwej kwestii), to nadziei na ponowne przywiązanie się do świata, od którego nas odwiązała nasza dyscyplina, filologia niestety nie budzi.

Dlaczego? Dlatego, że filologia zrodziła się w Bibliotece, a nie na Placu czy w Sądzie, gdzie rządziła niepodzielnie retoryka. Ściślej: w Bibliotece Aleksandryjskiej, gdzie trzeba było wiedzieć, jak odróżnić teksty oryginalne od fałszywek, którymi zalany był rynek rękopisów, skupowanych na potęgę przez Ptolemeuszy, którzy – jak dziś Google – zmierzali do zgromadzenia w jednym miejscu – realnym wszakże, nie wirtualnym – całej tradycji piśmienniczej cywilizowanego świata (Turner, 2014). Filologia zrodziła się jako sztuka weryfikacji dokumentów, jako sztuka stwierdzania autentyczności lub nieautentyczności tekstu, i tak naprawdę tylko to ją definiuje. Wszystko inne, co można z tekstem zrobić, należało, należy i powinno należeć do innych dziedzin działań z tekstem:

do retoryki, do gramatyki i do hermeneutyki (Markowski, 2025). By ten podział obowiązków wyjaśnić, posłużę się przykładem wybitnego włoskiego humanisty Lorenzo Valli.

Jako autor *De falso credita et ementita Constantini donatione oraz Collatio Novi Testamenti* Valla był filologiem (Valla, 2015). Jako autor *Repastinatio dialectice et philosophie* Valla był retorem i filozofem (Valla, 2012). Jako autor *Elegantiae linguae Latinae* był zaś gramatykiem (Valla, 1999). Inaczej mówiąc: Valla był filologiem nie wtedy, gdy brał się za jakiekolwiek pisanie, lecz tylko wtedy, gdy dowodził, że donacja Konstantyna była fałszywką, którą Kościół wykorzystał do umocnienia swojej władzy, i tylko wtedy, gdy porównywał ze sobą Wulgatę z rękopisami greckimi, by ustalić, która wersja jest bardziej autentyczna. Nie był zaś filologiem wtedy, gdy narzucał światu wzór języka łacińskiego (tym zajmował się jako gramatyk), ani wtedy, gdy próbował stworzyć niescholastyczną logikę dyskursu (wtedy był dialektykiem). Ktoś mógłby powiedzieć, że jest to dzielenie włosa na czworo i że Valla był przede wszystkim filologiem, niezależnie od tego, co robił. Mógłby, owszem, ale byłaby to daleko idąca manipulacja, która zwykle jest nie na miejscu, gdy spieramy się o to, czym jest i jaki zakres ma filologia. Gdyby więc ktoś dość mętnie dowodził, że filologia dotyczy tego wszystkiego, co robimy z językiem, odpowiedziałbym, że to historycznie nieuzasadnione roszczenie, by nie rzec – nieprawda.

Króciutki rys historyczny będzie tu przydatny. Otóż filologia nie istniała jako dyscyplina aż do końca XVIII wieku. Podejmowano różne próby definiowania filologii, ale najczęściej dotyczyły one tego, co nazywamy erudycją czy wykształceniem ogólnym. Pierwszy filolog, który sam się tym mianem określił, był geografem i kiedy mówiono o nim „filolog”, to dlatego, że znał wiele dyscyplin logosu, czyli racjonalnego badania rzeczywistości. Wśród sztuk wyzwolonych, które dominowały w modelu edukacyjnym Zachodu przez wiele stuleci, nie było filologii, lecz były gramatyka, logika i retoryka, i nie bez racji w ikonologicznym słowniku Cesarego Ripy filologia nie ma swojej personifikacji (Ripa, 2013). Gramatyka, logika i retoryka szczelnie pokrywały całość językowego doświadczenia i nie było potrzeby powoływania nowej dyscypliny pod

nazwą, która nic po prawdzie nie mówi. *Rhema*, od której wywodzi się retoryka, to mowa; *gramma*, od której wywodzi się gramatyka, to litera; *logos*, od którego wywodzi się logika, to język i rozum jednocześnie. Jeśli więc ktoś chciałby dowodzić, że filologia to – jak to się często wyraża – umiłowanie logosu, czyli umiłowanie słowa, to łatwo pokazać za pomocą etymologii, że żadna z dyscyplin *trivium* na umiłowaniu się nie opierała. Po prawdzie (językowej prawdzie) filologia to nic innego, jak tylko nauka o przyjaźni: *logos*, którego przedmiotem jest *philia*.

Przednowoczesna historia filologii nie istnieje, istnieje za to historia gramatyki, która była paradygmatyczną nauką o języku, albo lepiej: tekstach pisanych, gdyż żywą mową zajmowała się retoryka. Kiedy dziś projektujemy nazwę *filologia* na przednowoczesne praktyki tekstologiczne, to robimy to przez niechęć do ich identyfikacji z gramatyką, którą traktujemy tak, jak traktowali ją akademicy końca XVIII wieku: jako nudną, pedantyczną praktykę poprawnego pisania (Irvine, 1994). Tak jednak nie było przez stulecia, jako że gramatyka obejmowała zarówno ortografię, jak i krytykę oraz hermeneutykę, i to właśnie ten trójkąt w obrębie gramatyki uległ radykalnemu rozdrobnieniu i dał początek filologii, jako dyscyplinie różnej od – z jednej strony – lingwistyki, z drugiej zaś – hermeneutyki. Filologia ukształtowała się więc w wieku XIX jako krytyka, a ściślej krytyka źródeł i jako taka – jedynie jako taka – precyzyjnie zarysowała swoje przedmiotowe terytorium.

W *Grundlinien der Grammatik, Hermeneutik und Kritik* z 1809 roku, podstawowym dla wieku XIX wykładzie filologicznej dystrybucji pracy, Friedrich Ast, podsumowując wiele stuleci zajmowania się tekstami, zadekretował ostatecznie podział pola filologicznego na trzy obszary: *Grammatik*, *Hermeneutik* i *Kritik*, co jednocześnie otworzyło drogę do autonomizacji dyscyplin (Ast, 1808). W tym bardzo tradycyjnym i właściwym sensie filolog nie zajmuje się ani lingwistyką, ani interpretacją tekstu i jeśli przyjęło się za fundament współczesnych badań literackich rozróżnienie między gramatyką czy retoryką tekstu (najogólniej poetyką) i interpretacją (najogólniej hermeneutyką), to filologia w tym sporze nie brała żadnego udziału. Fakt, że przeszła ona w wieku XIX na grunt narodowy, dobrze świadczył o jej historycznych ambicjach, ale oznaczał

także, że musiała znaleźć sobie nowe terytorium do zagospodarowania, albowiem dwie podstawowe komórki tekstologicznej roboty zostały już wynajęte. Wyobcowana zarówno z lingwistyki, jak i z hermeneutyki, czyli dyscyplin powstałych na podłożu teoretycznym, filologia zajęła się uzasadnianiem narodowej przeszłości, z ulgą przyjmując narastanie dwóch nowoczesnych obsesji: autentyczności i tożsamości. I tak powstała historia literatury. A że na drugim niejako skrzydle, obficie korzystając ze wsparcia kolonialnej maszynierii, rozwijała się prężnie lingwistyka orientalna, doszło do pojawienia się komparatystyki (Bilczewski, Hejmej, Rajewska, red., 2022), która skrętnie – podobnie jak hermeneutyka – zajmowała się łagodzeniem kulturowego dysonansu, poprawiając dobre samopoczucie nowoczesnych akademików.

Ten nowoczesny podział pola tekstologicznego na lingwistykę, hermeneutykę i historię literatury dokonał się za cenę wyrzucenia retoryki z kanonu kształcenia. Filolog Friedrich Nietzsche uczył wprawdzie retoryki przez 10 lat swojej profesury w Bazylei, ale był to wykład ściśle historyczny: jego przedmiotem była – by wykorzystać tytuł podręcznika, z którego korzystał – *Griechische und römische Rhetorik*. Albo był to ogólny „Wykład retoryki antycznej” (*Darstellung der antiken Rhetorik*), albo „Historia greckiego krasomówstwa” (*Geschichte der griechischen Beredsamkeit*), albo „Wprowadzenie do Retoryki Arystotelesa” (*Einleitung zur Rhetorik des Aristoteles*). Choć był to kurs historyczny, to jednak Nietzsche miał świadomość, że retoryka nowoczesna utraciła swoją dawną moc perswazyjną, na potwierdzenie czego we wstępie do „Wykładu retoryki antycznej” cytował Immanuela Kanta (Nietzsche, 2021). Według autora *Krytyki władzy sądzienia* retoryka to „sztuka uprawiania pewnej czynności intelektu jako wolnej gry wyobraźni”, będąca jedynie „grą idei, mającą bawić słuchaczy” (Kant, 1986: 253). Kantowi przeciwstawiał Arthura Schopenhauera, który w swoim najważniejszym dziele filozoficznym definiował retorykę jako „zdolność przekazania innym naszego poglądu w jakiejś sprawie i naszego do niej nastawienia (*Gesinnung*), wywołania u nich naszych uczuć w tej sprawie i spowodowania przez to sympatii do nas” (Schopenhauer, 1995: 164). Kant traktował krasomówstwo jako swobodną grę słowami, której

celem jest zabawienie odbiorcy. Z kolei Schopenhauer rozumiał je jako przekonywanie do „jakiejs prawdy, która przeczy błędowi” (Schopenhauer, 1995: 164). Opozycja ta, mocno przez Nietzschego podkreślana, pokrywa się z tym, co wiemy o odłączeniu inwencji od elokucji. Linia Kanta potwierdza eliminację dialektyki z retoryki i prowadzi do modernistycznej koncepcji sztuki jako aktywności autotelicznej, natomiast linia Schopenhauera to tradycja wynajdywania skutecznej argumentacji w starciu opinii. Mówiąc prościej, linia Kanta to tradycja odłączenia dzieła sztuki od rzeczywistości, linia Schopenhauera to tradycja dyskusowania o tym, jaki pogląd na świat przenika dzieło sztuki. Wybierając Schopenhauera przeciwko Kantowi, Nietzsche stanowczo opowiadał się za traktowaniem retoryki serio, co jest możliwe tylko wtedy, gdy się ją na powrót połączy z argumentacją i narracją, a nie zamknie w sztywnych granicach elokucji, czyli poetyki.

I tak dochodzę do konkluzji. Na pytanie, czym powinna być filologia, odpowiadam, że tym, czym była i jest: krytyką źródeł, sztuką niuansowania wariantów, analizą kulturowych palimpsestów. Filologiem jest zarówno ktoś, kto zajmuje się krytyczną edycją jakiegoś dzieła, jak i ktoś, kto bada historyczne nawarstwianie się architektonicznych poziomów budynków rzymskich; ktoś, kto dyskwalifikuje fałszywki wszelkiego rodzaju, i ktoś, kto odczytuje nieodczytane zapisy. Nie musi się trudzić ani interpretacją (tym zajmuje się hermeneutyka), ani językową strukturą tekstu (tym zajmuje się poetyka, albo – jak lubił to nazywać Jakobson – gramatyka poezji). Nie musi baczyć na historię literatury ani dyskusię nad ideami, choć więcej wiedzy ogólnej nikomu zaszkodzić nie może. Jeśli tylko wykona swoją żmudną robotę i poprowadzi nas przez tekstualny labirynt, w którym bardzo często gubimy drogę, to jego cel, jasno uświadomiony u aleksandryjskich początków i zagubiony w ciągu ostatnich dwóch tysiącleci, zostanie podtrzymany i nie będziemy musieli wszystkiego zaczynać od nowa i kłócić się o to, czym powinna być filologia. To niestety nie położy kresu naszym literaturoznawczym kłopotom, o jakich wspominałem wcześniej, kłopotom ze społeczną degrengoladą naszego zawodu. To jednak już inna historia, którą trzeba wciągnąć na nowo próbować narzucać sobie i innym. Na razie na pytanie,

czym powinna być filologia, odpowiadam skromnie: tym, czym zawsze była. Tylko i aż tyle.

Literatura

- Ast F., 1808, *Grundlinien der Grammatik, Hermeneutik und Kritik*, J. Thomann, Landshut.
- Bilczewski T., Hejmej A., Rajewska E., red., 2022, *Archiwa dyscypliny. Historie i teorie nowoczesnej komparatystyki od Herdera do szkoły amerykańskiej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków.
- Fish S., 2008, *Interpretacja, retoryka, polityka. Eseje wybrane*, przeł. K. Arbiszewski i in., red. A. Szahaj, Universitas, Kraków.
- Irvine M., 1994, *The Making of Textual Culture: "Grammatica" and Literary Theory 350–1100*, Cambridge University Press, Cambridge, UK.
- Jakobson R., 1960, *Poetyka w świetle językoznawstwa*, przeł. K. Pomorska, „Pamiętnik Literacki”, nr 2, s. 431–473.
- Kant I., 1986, *Krytyka władzy sądownia*, przeł. J. Gałęcki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa.
- Lausberg H., 2002, *Retoryka literacka. Podstawy wiedzy o literaturze*, przeł. i oprac. A. Gorzkowski, Homini, Bydgoszcz.
- Markowski M.P., 2014, *Polityka wrażliwości. Wprowadzenie do humanistyki*, Universitas, Kraków.
- Markowski M.P., 2019, *Wojny nowoczesnych plemion. Spór o rzeczywistość w epoce populizmu*, Karakter, Kraków.
- Markowski M.P., 2025, *21 tez o nowoczesnej wyobraźni filologicznej*, w: *Filologia: powroty do przyszłości*, red. M.P. Markowski, Ł. Musiał, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków, [w druku].
- Marquard O., 1994, *O nieodzowności nauk humanistycznych*, w: O. Marquard, *Apologia przypadkowości. Studia filozoficzne*, przeł. K. Krzemieniowa, Oficyna Naukowa, Warszawa, s. 100–118.
- Menand L., 2010, *The Marketplace of Ideas: Reform and Resistance in the American University*, Norton, New York.

- Nietzsche F., 2021, *Exposition de rhétorique antique*, w: F. Nietzsche, *Rhétorique*, ed. A. Merker, Les Belles Lettres, Paris, s. 79–189.
- Ong W.J., 1958, *Ramus. Method and the Decay of Dialogue*, Harvard University Press, Cambridge, MA.
- Ripa C., 2013, *Ikonologia*, przeł. I. Kania, Universitas, Kraków.
- Schopenhauer A., 1995, *Świat jako wola i przedstawienie*, t. 2, przeł. J. Garewicz, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa.
- Turner J., 2014, *Philology: The Forgotten Origins of the Modern Humanities*, Princeton University Press, Princeton.
- Valla L., 1999, *Elegantiae linguae Latinae*, ed. S. López Moreda, Universidad de Extremadura, Cáceres.
- Valla L., 2012, *Dialectical Disputations*, trans., eds. B.P. Copenhaver, L. Nauta, vol. 1–2, Harvard University Press, Cambridge, MA.
- Valla L., 2015, *O rzekomej, sfalszowanej donacji Konstantyna*, przeł. K. Kokoszkiewicz, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa.

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI – Professor, Centre for Advanced Studies in the Humanities, Jagiellonian University in Kraków, Poland (the Faculty of Polish Studies). Department of Polish, Russian and Lithuanian Studies, University of Illinois Chicago, USA (School of LCSL – College of Liberal Arts and Sciences) / prof. zw. dr hab., Centrum Studiów Humanistycznych, Wydział Polonistyki, Uniwersytet Jagielloński, Kraków, Polska. School of LCSL; College of Liberal Arts and Sciences; Polish, Russian and Lithuanian Studies, University of Illinois Chicago, USA.

Author of books on modern literature and philosophy. The Hejna Family Chair in Polish Language and Literature at the University of Illinois Chicago, and Professor at the Faculty of Polish Studies, Jagiellonian University in Kraków. He has recently published two volumes of *Teksty zebrane 1988–2023* [Collected Texts 1988–2023], namely *Interpretacja* [Interpretation] (Gdańsk 2023) and *Polityka* [Policy] (Gdańsk 2024). He is currently completing the third volume titled *Reprezentacja* [Representation] (2025).

Autor książek poświęconych literaturze i filozofii nowoczesnej. Profesor w College of Arts and Sciences na Uniwersytecie Illinois Chicago, gdzie

piastuje Katedrę Studiów Polskich, a także na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ostatnio opublikował dwa tomy *Tekstów zebranych 1988–2023* pt. *Interpretacja* (Gdańsk 2023) oraz *Polityka* (Gdańsk 2024). W przygotowaniu *Reprezentacja* (2025).

E-mail: mpmarkowski@gmail.com